Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 15. Poznań dnia 8. Lipca. 1839.

Literatura zagraniczna.

Teraźniejsza angielska literatura.

Podług Filareta Chasles.

(Dalszy ciąg.)

Dziś przeciwnie, gdy wnijdziemy do teatru, z którego aktor Macready wypłoszył boginie wdzięków, uderza nas poważna i głęboka cisza. Siadamy, patrzymy na sentymentalną mieszczańską tragedyą bez podobieństwa do prawdy, bez akcyi, potoczystości dyalogu, pełnéj ckliwych oświadczeń i płaczliwych sentymentów i wychodzimy równie na zimno, poziewając.

Taki jest postęp angielskiego teatru. Młodzieńczy i pełen życia pod Shakespearem; przesadzony, pusty i rozwiozły pod Karolem II., płaczliwy i moralizujący pod Jerzym II., potem w nową przeradzając się formę, stanął obecnie na najwyższym szczycie sentymentalnéj metafizyki, to jest nad ciemnym grobem swéj nicości; jest to ostatnie stadyum jego zepsucia. Dzisiejsze dramata są kościotrupy, nieumiejętną ręką z różnych przypadkiem natrafionych szczątków niesfornie i dziwacznie złożone, ustrojone czczem pathos i napuszystą deklamacyą; ale bez żadnéj wyższéj idei moralnego celu, panuje w nich przypadek bez rozsądku. Tego zdania jest także Edinburgh Review, gdy pisze: nasz teatr bliżki jest zgonu. Jednéj lub dwom rolom, w których ulubieni występują aktorzy, poświęcają się wszystkie inne względy, i w sztukach szumny poklask odnoszących widzimy śmieszną nadętość, sentymentalną przesadę, wieczne jęki, niedorzeczną wściekłość; przeciwnie ani śladu podobieństwa do prawdy i konsekwencyi charakterów. Zwyczajni zaś liweranci teatralni przerabiają tylko francuzkie krotochwile i Vaudeville. Autorowie szukają natchnienia za kulisami zamiast w naturze; dla tego też poetyczne ich płody są pospolicie zwiędłe i wypłowiałe. Najbardziéj podobały się sztuki: Maturin Bertrama, chociaż ten właściwie jest tylko niedorzecznym zbiorem samych okropności: mieczów, hełmów, duchów, księżyców, kajdan, więzień, i pieczar podziemnych. Sheridan Knowles ma więcéj dramatycznéj niż poetycznéj wartości.

Dramata taraźniejsze nie są w ogóle niczem innem, jak romanse na wiersze przerobione. Wszystko jest obrachowane na wstrząśnienie nerwów, choć z widocznem uszczerbkiem prawdy. Pewien dramat pod tytułem „Paracelsus“ nie zawiera nic więcéj, jak pięcioaktowe gadulstwo o naukach mistycznych, i wzniesieniu ducha do ideału. Talfourd w swym przez krytyków pod nieba sławionym Jonie, a którego rzecz przypomina Atalią, usiłował przywrócić prostotę starożytnego greckiego dramatu. Daremna praca! Taylora Artevelde, szacowne dzieło ma zbyt mało interessu. Sheridan Knowles, który sam był aktorem, korzystał z doświadczeń na scenie zrobionych, przez to nowy interes obudzić usiłował, iż wystawiał dolegliwości i namiętności zwyczajnego życia. Virginiusz, Mantuanka, Garbaty powiodły się dosyć na scenie. Jakoż cała potęga angielskiego dramatu koncentruje się obecnie w tym pisarzu, posiadającym pewien urok wyrażenia; ale plan sztuk jego bez związku i podobieństwa do prawdy rodzi zwykle niezmierną moc rozlicznych przygód, dla tego tylko jedynie zrządzonych, aby nastręczyć poecie sposobność do rzewliwych wylewów. Szuka, podobnie jak Wordsworth, przestrachu i litości na łonie rodziny i plondruje uczucia familijne, a niekiedy rozpływa się, jak Kotzebue w sentymentalnéj ckliwości; często atoli jest także patetyczny i prosty, przypominający prawie zawsze wykwintny, nieco rozlazły styl Beaumonta i Fletshera.

III. Romans i Nowella.

Odwróćmy oczy od zgrzybiałego dramatu, a spojrzyjmy na wyrosłego w Anglii i Europie literackiego olbrzyma, to jest romans. Jest on szerokiem polem, na które prawie wszystkie górujące występują talenta. Czemże jest właściwie romans? Formą, pozorem, słowem; w istocie ogarnął i pochłonął wszystko. Dawniéj idee w dramatycznéj występowały formie, bo drama

jest to czyn, a Europa działała wtenczas, potrząsała kopią, zmiatała łby bissurmańskie obosiecznym bułatem, wznosząc krzyże wiary. Teraz dzielność stępiała, jéj miejsce zajęły marzenia, a z niemi romans rozpostarł swe wielowładne panowanie. Anglia już dawno z dumą na swych romansopisarzy spogląda, którzy w obrazach prywatnego życia i charakterów ludzkich poszli śladem Shakespeara i rozwinęli w téj mierze dziwną mieszaninę głębokości i płytkości. Skłonność do psychologicznych badań, która w dramacie częstokroć do śmieszności doprowadzić może, nie wywarła na romans tak szkodliwego wpływu. Zgłębiając charaktery, lub malując pewien odcień ludzkiego towarzystwa, jest ona właśnie w swym elemencie, dla tego też tu nie tak prędko, jak w dramacie i poezyi, spowszednieje. Kobiety zbogaciły te mikrokosmiczne badania nie jednym delikatnym rysem.

Szkoła Waltera Skotta, która zresztą szczupłe tylko uprawiała pole, z śmiercią mistrza straciła całą wziętość. Jego naśladowcy zaniechawszy istoty rzeczy, uganiali się za jéj cieniem, za ubiorem bohatyra; ale świetne zbroje, rohatyny, starożytne sprzęty domowe, sztukaterye rzeźbiarskie straciły już zupełnie urok, i wróciły do magazynów. J a m e s, autor Darnleya, Delormy, Filippa Augusta starał się o dramatyczny effekt, trzymając się wiernie historyi. Szkoda, że napróżno u niego szukamy owéj pełności życia, owych niezliczonych rozmaitą osobistością tak zajmujących kształtów, które utwory Waltera Skotta ożywionym, istotnie żyjącym czynią światem. H o r a c e S m i t h, autor Brambletye-Halla więcéj wprawdzie swym obrazom daje życia, lecz drobiazgowa akuratność, w malowaniu najdrobniejszych szczegółów, szkodzi głównemu interessowi i całości, która prostą być powinna. Taki epiczny geniusz, jakim był Walter Skott, nie pojawił się dotąd.

W Anglii romans tysiączne przebiera kształty. Oprócz historycznego powstał romans morski, wojskowy, salonowy, miejski, administracyjny, polityczny, satyryczny, komiczny, popularny; albowiem z romansu wszystko zrobić można. Marryat maluje okręty i sceny morskie, Gleig żołnierzy, Lord Normanby salony, Hook mieszczan, Miss Martineau rzemieślników, Galt członków parlamentowych, Dickens rzezimieszków i fiakrów, Hood kupczyków, Miss Mitford kramarzy. Jest to okiem nieprzejrzany szereg monografii, z nadzwyczajną troskliwością skreślonych. Liczne te gatunki dadzą się pod dwa główne działy podciągnąć. Jeden otwiera czytelnikom świat wyższy, drugi maluje obrazy ludu. Oprócz Lorda Normanby celują w pierwszym: Mistres Gore, Lister, Norton, a szczególniéj Lady Karolina Bury; w drugim wsławili się Theodor Hook, Hood, ale ich wszystkich daleko przeszedł w ostatnim czasie D i c k e n s. Nie są tu jeszcze objęci: Hogg i Galt, dwaj niepospolitéj bystrości Szkoci, Harrison Ainsworth, który komiczny romans z historycznemi wspomnieniami połączyć usiłował, delikatny i dowcipny Ward, satyryczna Mistress Trollope, wykwintna Miss Landon, pani Jamieson, Lady Blessington, przyjaciółka Byrona.

Oto jest gęsty i nieprzebyty las romansów, chociażeśmy autorów nie wyliczyli ani połowy, którzy sobie pewną wziętość zjednali. Wymieniamy jeszcze: Mistress Howitt, Hal, Allana Cunninghama, Grattana młodszego, Israela, Mistress Shelly. Są to gwiazdy, które w ostatnim czasie zajaśniały na horyzoncie, trudno jest powiedzieć, które z nich prędzéj zgasną.

Romans jest na przemian, to krzykiem, to jękiem, himnem, lub nauką, głuchem mruczeniem, albo sardonicznym śmiechem, którym się ruch żywotni angielskiego towarzystwa objawia. W roku 1815 podniosła arystokracya głowę i natychmiast powstały: *fashionable novels* w jedwabiu i axamicie ze wszystkiemi modnemi grymasami, żółtemi rękawiczkami i całą wytworną szczebiotliwością, jak widelce trzymać, jak po woskowéj posadzce posuwisto płynąć należy. Majętni mieszczanie spoglądali zazdrosnem okiem na ten uprzywilejowany ton pański. Zaczęli kupować hotele, stroić liberyą, opływać w dostatki i śmieszności i najobfitszej dostarczać materyi genialnemu pisarzowi, Teodorowi Hook, autorowi „*Sayings and doings*“ utalentowanemu szczególniéj do karykatury, i uszczypliwéj satyry. Tą ostrą bronią ujął się za sprawą konserwatywów, wyśmiewając obyczaje pnącéj się w górę klassy ludzi, z handlu i przemysłu wzrosłéj, a przecie dla nabytych bogactw z szlachtą bratać się chcącéj. W czasie tym obyczaje na wsi z swemi zielonemi i kwitnącemi małemi siołami, umajonemi pagórkami i normandzkiemi wieżami mało co się zmieniły. Marya Howitt i Miss Mitford nadały obrazom tego życia wdzięk czarujący, a Provincial Sketches nicują je uszczypliwym przekąsem. Tymczasem odezwały się głosy o reformę; obłędne pospólstwo mniemało, że się towarzyski mechanizm da tak łatwo naprawić, jak kółka w zegarku. Miss Martineau wzięła się do pióra, i zaczęła w formie powieści wykładać swe statystyczne zasady. Inni śmiali się z téj dążności, z tego materyalnego fanatyzmu, i mistycyzmu złota. Szkot Galt wysiekł w dwóch małych pamfletach w formie romansów wydanych, obojętność jednych i zazdrosną pożądliwość drugich. W Anglii żadna rzucona myśl, żadne uczucie nie ginie, wszystko to idzie na korzyść romansu, nawet Calembury. Hood, pisarz pełen dowcipu,

zupełnie się temu ostatniemu osobliwszemu rodzajowi poświęca; pisze corok sześć tomów, a każdy tom zawiera dwanaście powieści, a w każdym wierszu Calembur. Niezmordowany Punster robi je wierszami i w prozie, rysuje je nadto, litografuje i sztychuje. W Anglii, w tym olbrzymim romansowym warsztacie, rozpalony piec, wiecznym zieje żarem i grube kłęby dymu na wszystkie okolice świata rozsyła; tu każda rzeczywistość staje się poezyą i poezya rzeczywistością.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Melodya II.

Arfa Eola.

O! nie ma w Arfie Eola
Strony na wesołe pienia!
Jéj śpiewem — tęskna niedola —
Melancholiczne westchnienia.

Nią, czy wietrzyk zakołysze,
Czyli burzą wichry drżące,
Jednęż tony przerwą ciszę:
Łagodne — ale jęczące.

Takim troskliwie tajony
Smutek zawiedzionéj duszy.
Po nadziei zatraconéj
Został szmer, co wszystko zgłuszy.

Tylko załośne westchnienie
W odległéj świata połowie,
W niéj wierne obudzi drżenie,
I jękiem na jęk odpowie.

Melodya III.

Jesień.

Kiedy ostatnie podarki lata
Powłoka smutku ocieni;
Gdy wicher szumiąc w gaju pomiata
Pożółkłym liściem Jesieni;
Jeszcze się wtedy młodszych gałązek
Wytrwalszy listek zieleni:
Jakby dni nowych, lepszych zawiązek,
Jakby iskierka wśród cieni.

O bracia moi! o przyjaciele!
A wyż młodości złotą koronę —
A wyż dni waszych pączki zielone
Zagrzebać dacie w popiele?

Ktoż z was tę iskrę, co tli ukryta,
Jak sen przeczucia w spojrzeniu dzieci,
Kto czystém tchnieniem w płomień roznieci,
I gwiazdę naszę powita?

Kto się wam ozwie głosem radości,
Tym głosem wielkim — tém Echem świata —
Co jak meteor ziemię przelata,
Na jedno hasło ludzkości.

A gdzie doleci, wszędzie noc znika,
Wszędzie czekany — błogosławiony,
Wszędzie w braterkie zlewa się tony,
Daléj, i daléj pomyka! . . . .

I dzisiaj wicher jesienny wyje,
Nad słabym krzewem się znęka;
I dziś się listek sierota kryje;
I wiotka trzcina uklęka;
Ale są listki i w naszym gaju,
Przyszłości naszéj poręka.
Jaśnieje wieniec naszego Maju;
Młoda nam wschodzi Jutrzenka!

Melodya IV.

Gdy wiosna życia zaświeci.

Gdy wiosna życia zaświeci,
Jakże rok za rokiem leci!
Jak migają gdyby we śnie
Młodych marzeń piękne roje —
Młodéj duszy niepokoje —
I jak przelatują wcześnie!

Widziałem kwiatek wiośniany;
Nadzieją wykołysany
Błysnął jak młode nadzieje —
I zagasł . . . i, smutne losy!
Jedna tylko łezka rosy
Jak gwiazda nad nim jaśnieje.

Tak, gdy po krótkiéj podróży,
Sny najmilsze los nam zburzy —
Ostatnią nadzieję skruszy . . . .
O! szczęśliwy, kto z powodzi
Uniósł w chybkiéj życia łodzi,
Choć jedną łzę czułéj duszy! . . . .

M. Jełowicki.

Uwagi nad dramatem polskim.

(Ciąg dalszy.)

Wyjściem z dzieciństwa dramaturgii, jest krok Szekspira, którym odważył się wprowadzić tchnienie wiekowe do dramatów, to jest: zabobony, przysłowia, przesądy, myśli tego wieku, z którego wziął bohatera, wtłoczył Szekspir w swój utwór, każdéj osobie ogólnéj, jak król, kapłan, wódz przywrócił się właściwy język; co większa, obrał porządkiem królów, i z nich napisał sztuki, chronologiczne nie tylko co do czasu, ale chro-

nologiczne co do zmiany w obyczajach, w pomysłach, przesądach, tak, że każdy utwór osobno wzięty, jest całą dramą żyjącą, owowiekową, skończoną; wszystkie zaś razem są obrazem jednym, przerabiających się wrażeń w ludzie szkockim, we dworze szkockim, w kościele szkockim, w sądzie szkockim, słowem, w całym ogóle narodu tego. Otóż to jest plan większy, ogólniejszy, jaki do tego czasu przybrał zawód dramatyczny. Rzymskie i greckie Bogi z swojemi rycerzami, kapłany z swoim fatum, rzymska i grecka tragedya ze swą jednością miejsca i czasu, tu się kończy, abdykuje, powstaje w jéj miejsce dramat łączący wzniosłe z naturalnem malowaniem, śmieszne i smutne byle owowiekowe w nim się mieści; odtąd na widownię występujące osoby, gadają nie dla tego, aby ich słuchano, ale dla tego, że tak gadali, działają nie dla wyrachowanego uderzenia na słuchacza *(coup de théâtre)*, ale że tak działali. Szorstki wiek szorstką za sobą ciągnie mowę i czyny: nierozsądny, kto w takim wieku kładzie im ukształconą wymowność w usta, w serce późniejszą sentymentalność, w prawicę szpadkę nie miecz, w czynach rozglądanie się głębokiem.

Pod tym względem uważany w dramaturgii Szekspir, jest mistrzem nie nowych scen, którebyśmy przez naśladowanie spowszednili, ale jest mistrzem nowego obszerniejszego zakresu dramaturgii, który dla tego, że bliższy natury rzeczy i więcéj w oddawaniu życia prawdopodobny spowszednić się nie da, a upowszechnić się musi, gdy zważymy, jakie korzyści z sobą niesie.

Jednostajna klassyczna forma piętnowała każde dzieło, błędem wynikającym z samego jéj utworu, bo zkąd powstała? — Z zastósowania kilku dzieł owoczesnych do natury, a pierwiastkowe próbki oddania czynów wielkich, lub przeznaczeń większego losu, wzięto później za miarę do oddawania wszystkich czynów i przeznaczeń, jakie po wiek wieków zdarzyć się mogą w Indyach, Turcyi, Rzymie, w Nowéj Ziemi, Polsce i Grenlandyi. W oddawaniu natury przez dramę, wzięto do pomocy zasadę algebraiczną i a (jedność miejsca) $+ b$ (jednością czasu) $+ c$ (jednością czynu) musiało się równać $= d$ (to jest temu wszystkiemu, co drama oddać może), co ogłoszono za zasadę tak prostą, tak naturalną i świętą, jak dziesięcioro bożego przykazania. Prawowierni uwierzyli, Arystoteles wstąpił na nową Synai, Laharpowi ukazał się Apollo w gorejącym krzaku, a Racine, Corneille i Voltaire suchą nogą oprowadzali zwoleńców po Czerwonem Morzu, i nakoniec zaprowadzili ich do ziemi obiecanéj, to jest w błoto, zkąd ani rusz. Trzeba było proroka, żeby ten stary przebudować zakon, i wyprowadzić ich na czyste pole.

Święte $a + b$ jedność czasu i miejsca, pokazały się niepotrzebnemi straszydłami na téj drodze, i wypadło, że często $a - b$ większy skutek zrobiły, bardziéj oddawały naturę rzeczy, jak $a + b$, i w zrównaniu sztucznem lepiéj oznaczały wartość d czyli zasadę sztuki dramatycznéj. Wyszliśmy z Szekspirem, z odwiecznego salonu Cynny, Horacyuszów, Mahometów, Edypów, Esterki, bośmy się tam dosyć nasłuchali jednakowéj gadaniny, zwierzających się bohaterów, czy chrześciańskich rzymskich, żydowskich czy greckich, to poufałym subretkom, to usłużnym Achabom, niby kamerdynerom tych wielkich ludzi, co miało być bardzo zręcznem uwiadomieniem widza. Ale dalibóg niezręcznem, że ja jestem ten a ten, przybyłem tu i tu, myślę robić to i to. Ale kamerdynery nuż doradzać, odradzać, płakać nad losem wielkich ludzi; w końcu nuż opowiadać, jak ten oczy sobie wyłupił, jak owa się przebiła, jak inny spadł z wozu i konie go stratowały. A nie robiono sobie wiele ambarassu, ze zgłębieniem ducha czasu, miejscowości i t. p. fraszek; najwięcéj szło o kilka pięknych wierszy, w którychby krew, sztylet, śmierć, piekło, niebo jaśniały. Aktorom zaś szło najwięcéj o to, aby dużo chustek zamoczyć łzami, i przy spadaniu zasłony ulubione b r a v o utrzymać. A dla czegośmy wyszli z owych salonów, gdzie tak wygodnie opowiadano nam bitwy, nie obrażano naszych oczu ani uniesieniem, ani krwią, bo przez grzeczność, kto śmiał się zabić, to się zabijał za sceną, o to bo ten prostak rozum wciąż wołał na nas. Ale panowie, kiedy te czyny, co opowiadacie, są tak piękne, czułe, wzniosłe, przerażające, proszę was, poprowadźcie też mnie tam, niech ja sam to ujrzę, może ja to lepiéj sobie opowiem, uczuję, aniżeli, kiedy mnie o tém jaki żołnierz albo subretka rozpowiadać będą. Nie dosyć owo ten prostaczek przebąkiwał jeszcze ho! ho! jak ten Horacyusz podobnie gada do Ulissesa, a ten Mahomet, to istny portret Edypa (musieli żyć razem), a ta Esterka, jaka uczona żydówka, musiała żyć w wielkiéj przyjaźni z Fedrą, a te podrzędne istoty, te intryganty, ci przebiegli pochlebcy, to jakby dzisiaj żyli, proszę, co za maxymy moralne mają ci bohaterowie w ustach, co rusz, to zaraz na to sens moralny, to jak w manualiku poczciwego człowieka, a człowiek na wystawie wiele, prawdziwie korzysta, tylko szkoda, że takie nudne te figury.

Ale prostaczka zakrzyczano głosem, on w duchu co myślał, to myślał, kto miał za sobą prawdę? rozum, kto tę prawdę zrozumiał? Szekspir; mówią także, że on był prostakiem, że nie znał dobrze zasad tragedyi sta-

réj, to pochwała, bo pokazuje, że Szekspir był geniuszem. Oto krótki rys postępu dramy w świecie literackim.

Nam teraz wrócić do szczegółów dramaturgii polskiéj. Tu długo nie słuchali prostaczka, pono i teraz. Dla czego? dla czego przeniesiono ciasne obręby tragiczne nad zakres wielkiéj dramy? Wszak krok Szekspira był Europejskim krokiem; jest odpowiedź, odpowiedź łatwa, choć niestety niepochlebna dla nas. Rozmiary tragiczne tak oklepane w szkołach łatwiejszemi były do wyrobienia. W ich formule zamiast *a* połóżmy Żółkiewskiego bohatera, w miejscu *b* Kalinowskiego zdrajcę, *c* niech będzie Skinder Pasza; dodajmy do tego znak + (więcéj), to jest: miłość w obozie (mniejsza o to) oświadczenie zamiarów małżeńskich na błoniach Cecory (i to mniejsza, aby była miłość), a dojdzie zrównanie do *d* śmierci Żółkiewskiego, formuła uskuteczniona i jest tragedya klassyczna. Teraz, aby ją dobrze publiczność przyjęła, trzeba kilku pięknych wierszy; daléj muzo! —

„Po cięciu tego pałasza
„Poznaj, żem jest Skinder-pasza — *bravo.*
„A krew w ranach wezbrana wytrysła strumieniem.“

Skradzione panie autorze! — nic nie szkodzi, ale ładne. Jeszcze sentencyi, a sentencyi moralno-narodowych. „Pierwéj na nich uderzym, a potem policzem“, *bravissimo,* sztuka się utrzyma. Alež autorze tło wieku, miłość nie w miejscu, a ów somnambuliczny Żółkiewski, ten sen dobry w Atalii. — Bajka, wszystko bajka, ktoby dla pięciu aktów chciał przewracać stare szpargały, plany kampanii Żółkiewskiego, jego autentyczny język, jego własne słowa, gdzie ani jednéj takiéj górnéj niema sentencyi. Tło wieku! a kto by to rozumiał. Położenie narodu, stanów, króla, obozowe niezgody, gdzie każdy szlachcic osobno sobie hetmanił, byle się jego Marynie carować chciało. Trzebaby scenę przenosić aż do Warszawy, a to tylę mil od Cecory, potém co to ma związek z tém, że Żółkiewski zginął, tu trzeba związku zainteressowania, niech więc syn Żółkiewskiego kocha się w kim, — piękna myśl! w córce zdrajcy, to takie położenie, jak Fedry, ale nowe, z innego boku, co za sceny!! wahania się między miłością a cnotą, huki strzałów, ona się lęka, monolog przepyszny, drży o ojca, kochanka. Bogi, piekła, rany, sztylety, trąby, kotły, a powiernica co donosi o nieszczęściu, a opowiadania śmierci Zółkiewskiego przed nią. — Naturalnie, żeby kobiety w obozie nie było, przed kimże opowiadać zgon wodza, kiedy każdy żołnierz dawniéj był i i widział sam to wszystko, zresztą nie było rapportów wtedy, ani sztabu głównego. Nakoniec okropny cios, kochanka we krwi przynoszą, a Turcy tak grzeczni, że tylko za sceną się biją, na scenę im nie wolno, boby przerwali konanie, albo jakie opowiadanie.

Oto ich ogólną foremką, któréj niestety! i najzdolniejsi autorowie trzymali się u nas; z cyrklem, nie z uczuciem chodzono dotąd na polu dramatycznem i krytycy nasi po gazetach literackich Warszawskich pan X. i T. w bibliotece polskiéj P. D. więcéj pilnowali rozmiaru i wymawiali autorom, gdy cztery zamiast pięć aktów lub coś podobnego ośmielili się (straszna śmiałość) puścić na scenę, niż utyskiwać nad brakiem prawdy, życia, osób przedstawionych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Filologia, filozofia i matematyka,

uważane jako zasadnicze umiejętności naukowego wychowania.

III. Matematyka.

(Ciąg dalszy.)

Nowe pojawiają się gatunki ilości liczbowych: ujemne, dodatne, urojone, nieskończone, które zastósowane do potęgowania i jego odwrotnych działań, a tem samem do zrównań wyższych stopni, tworzą wyższą analizę. W rachunku różniczkowo-całkowym nareszcie napotykamy na ilość zmienną i nieskończoną, jak czas. Lecz nie tu koniec arytmetycznym badaniom. Jak następstwo czasu, tak następstwo zmian ilości liczbowych, i coraz nowych własności, końca nie ma. Sama liczba dla tego w nieskończoność rośnie i w nieskończoność jako ułamek drobnieje: w tym ogromie postępu na obie strony, myśl jéj ani przejrzeć, ani objąć nie podoła. Podobnie też możność coraz zwięźlejszego liczb powiększania i pomniejszania granic nie ma. I tak: pierwszém działaniem arytmetycznem jest liczenie, czyli następne zbieranie jedności. Pod względem działania, jest to mechaniczny, nadoręczny, najprościejszy środek rachuby; pod względem myśli niejako przegląd liczb aż tam, gdzie rosnący w nieskończoność ich ogrom wyższym staje się nad pojęcie. Dodawanie łączy w jedno już nie jedności same, ale zbiory jednostek; a że się to nie dzieje przez doliczanie, lecz przez krótszy sposób, oparty na dziesiątkowym liczb systemie, można powiedzieć, że tu po raz pierwszy myśl działała, i że dla tego dodawanie jest pierwszem działaniem, czyli pierwszym sposobem spójniejszego liczb wiązania. Z dodawania wyłącza się na mnożenie ten przypadek, gdzie np. a do siebie się dodaje b razy, i to będzie drugi stopień liczb zwięzłości. Jak w dodawaniu wszystko jedno jest, czy a do b, czy b do a dodajemy, tak

i w mnożeniu, czy a przez b, czy b przez a mnożymy. Dla tego w odwrotni obu działań, czy z wypadku ich a, czy b szukamy, jedno tylko jest działanie: tam odciąganie, tu dzielenie. Dzielenie jako zawilsze, już naprowadza na potrzebę teoryi ułamków. — Wyłączając z mnożenia ten przypadek, gdzie a mnożyć się ma przez siebie b razy, i zastanawiając się nad sposobami dokazania tego w nowy sposób działania, wynajdziemy trzeci stopień zwięzlejszego zwiększenia liczb, to jest potęgowanie. Spojność potęgi już złożeńsza, zawilsza: a wyniesione do potęgi b, i b wyniesone do potęgi a, dają dwa różne wypadki, z którego szukając pierwiastka lub wykładnika, będziemy mieli w odwrotni dwa różne działania. Trudno tu już myśli przecisnąć się przez kłęb tyloliczných złożeń, trudniéj jeszcze wynaleźć ułatwiający te działania mechanizm. Loagrytmy ułatwiają je tylko przez przybliżenie; bez nich, chcąc potęgować w zupełności, trzeba mnożyć; chcąc wyciągać pierwiastek, można tylko kwadratowy i sześcienny; a wynaleźć wykładnika bez tablic logarytmicznych całkiem nie umiemy. Tu dzisiejsze granice coraz więcéj składanego liczb zwiększania. Ale myśl daléj sięga, w daleko zawilszem złożeniu uchwycić liczbę potrafi: bo idąc za samą analogią sposobów składania, z potęgowania wybrać może ten przypadek, gdzie a przez siebie się potęguje b razy. Nazwawszy więc działanie to **przesilaniem**, a wypadek **przesilnią**, ogólna jego formuła będzie:

$$a^{a^{a^{a^{\cdot^{\cdot^{\cdot}}}}}} = \overset{b}{a} = c$$

gdzie szukanie z przesilni tak pierwiastka, jak wykładnika przesilnego, dwa odwrotne wykryje działania. Oto nowe zagadnienie, ku zgłębieniu natury liczby, którego się dotąd z matematyków nikt nie tknął. Jak przystępującemu do teoryi potęgi, definijącéj mu się tą formułą $a\,a\,a\ldots = a^b = c$, tajemnicą są wszystkie tyloliczne prawd pojawy, jakie z niéj myśl wgłębiająca się i kombinująca wykrywa; tak w zwyż przytoczonéj formule nowego, wyższego nad potęgę działania, ukryte są rozliczniejsze zapewne liczb własności, których rozwinięcie do ważnych może prowadzić odkryć.

Postęp zatem arytmetyki rozgłębia się w zbadaniu liczbowéj ilości w coraz zwięzlejszem jéj złożeniu. Nie tak geometrya. W przestrzeni nie ma ruchu, ale spoczynek; nie ma więc postępu w głębią, ale w rozkład; nie jednoista ta sama zawsze ilość liczbowa, ale rozliczność nie zawisłych od siebie różnych przestrzennych kształtów. Atom, (punkt w znaczeniu niknących w nim rozciągłości) krąży po przestworzu, i przecieka w linią; linia rozciąga się na powierzchnią, a ta na bryłę rośnie. Nad to nic czwartego wyobrażenie przestrzeni nie przynosi. Bryłą wypełniła się przestrzeń, atom stał się ciałem. Są to prawdy w naturze przestrzeni ugruntowane, przytem tak początkujące, jednoiste, niezłożone formy wszechkształtów, że definicyi ich, to jest rozkładu ich pojęcia, dać nie można. Dla tego definicye tych figur zwykle są w równoznacznych wyrazach oddane, albo co gorsza, wniosek wzięty za definicyą. Być może, że zapatrywanie się na regularne ciała w naturze, naprowadziło człowieka naprzód na wyobrażenie brył regularnych, a z nich płaszczyzny, linii i punktu; ale właściwy i konieczny postęp myśli idzie od punktu do bryły. Dowodzi tego najjaśniéj, że dla nabrania dokładnego wyobrażenia brył, wystawiamy je sobie, jako powstałe z płaszczyzn, np. graniastosłupu z podnoszenia się w górę trojkąta, czworoboku lub wieloboku; walca z obracania się równoległoboku około jednego z boków wziętego za oś i t. p. Pod te trzy kategorye linii powierzchni i bryły dadzą się podciągnąć nieprzeliczone postaci przestrzenne. Geometrya wyłącza z nich wszystkie nieforemności, i uważa same regularne kształty; a więc linie proste, i złożone z nich figury płaskie i bryłowate; z linii krzywych same linie regularnego krzywienia się, jak koło, elipsa, i t. p., i takiéjż powierzchni bryły. Wyłączenie z zakresu badań wszelakich niekształtów, nie jest dowolnem wygraniczeniem się geometryi, ale koniecznem. Postaciowanie się ciał w naturze, gdzie na ich formowanie wrażały się różne wpływy, wyistacza się na mniéj więcéj harmonijne wypełnienie całości ku **rozsądnym celom**. Forma tu zatem treści ulega, i sama twórcza przyrody ręka ku temu regularność form nagina: pęka kuliste ziarko nasienne, aby się rozpostaciło w różnogięty kształt rośliny; i regularne sklepienie jajka rozpaduje się, gdy z niego nieforemnie ukształcone wykluwa się ptaszę. W postaciach zaś geometrycznych jest próżnia, nie ma treści, nie ma żadnego obcego wpływu. Cóż więc będzie rozsądnym celem, według którego składać się mają? zaiste nie nieład w polubownych różnorodnych rozkrętach, ale skład regularny według praw pewnych tworzący się. Dla tego też i w nieorganicznéj naturze, gdzie forma z treścią jeszcze w równowadze, postrzegamy wyrabianie się ciał w regularne kształty, dążenie do form kulistych. Tylko w regularnych składach, które się według pewnych praw ukształciły, na odwrót te prawa wykryć można, a z nich rozliczność innych prawd i stósunków. Ten sam cel rozsądny i w arytmetycznéj części matematyki się pojawia, tylko że go tam nie potrzeba szukać, bo zrosł z samą istotą ilości liczbowéj. *(Dokończenie nastąpi.)*

Przegląd pism.

***Prace literackie**, tom 1wszy. Wiedeń, nakładem wydawcy.* 1838.

(Dalszy ciąg.)

To się stało zewnątrz, lecz wewnątrz komnaty cięższa, ciekawsza zatoczyła się historya. W początku rozmowy obu Hetmanów wszedł był z pismem w ręku pachołek, jak należało w służbie z pawężą u boku ciągnął z pobliskich komnat, więc ni drzwiami łomotnął, ni butem mocno bił w posadzkę, bo służalny Chodkiewicza ślachetnego domu syn umiał dworsko stąpać; ale ino tak grzeczny dla samego hetmana, bo chociaż młody, nie bogacz, nie pokaźny zrostem, twarzy i oczu niewyrazistych, był jednak dumnym, pomrukliwym i zawsze w sobie myślący; bo nie gadał jak hester, alež za to słuch pachołka daleko chwytny, prawdziwy posłuch na czatach, w głowie zaś wiele przenikłości. Hetman Chodkiewicz był mu jak święty obrazek, a słowa jego jak rozkaz: »ława wprzód.« Wiedział o tém Chodkiewicz, trzymał go na dworze u boku swego, w polu, w komnacie: i gdyby był wiedział, że w téj chwili pachołek stanął za nimi ze zwitkiem do podpisu, byłby cofnął swe myśli rozbolałe i język rozjątrzony. Ale on jeszcze miał w oku przejeżdżającą karocę Urszuli, w głowie odmówienie posłuchania u króla, ów zaś obok siebie dostrzeżony ukłon Sapiehy zezłościł go i skrzywił. . . . . I takie licho siedzi na stolcu — stolec Jagiełłów — on pruchno — stolec Chrobrych — on Szwed — precz z nim, precz z nią, huczał Chodkiewicz, precz z babami — zgnił, to niech pruchno wyrzucą na śmiecie, lub mu petardę smoleńską podsadzą. . . . . Piekarski stał wpółzgięty za nim. Piekarski podjął myśl jak rękawicę: nie widział żalu, nie dojrzał uniesienia, jak koń nie patrzy lic człowieka, ale jego słucha ostrogi. Piekarski posłuchał i cichszym, prędszym krokiem ubiegł do drugiéj komnaty, a krok jego był cwałem hestra, ino brakło podskakiwań ciała; nie brakło, tak mu piersi jak koniowi skakały. I ci ludzie jako dwa odcienia jednéj myśli rozeszli się, nie widząc i nie spotkają się więcéj, ino w strasznéj chwili skutku; a wtedy kto będzie winniejszym, kto będzie świętszym, kto wyżéj stanie, kiedy już iść trzeba po drabinie téj krwawéj myśli? czy ten, co stąpił siwy na szczebel błędu, czy ów, co młodzieńczym ruchem skoczył na kraniec zbrodni? kto świętszy, czy ten żałobą swoją, czy ów wykonaniem, niech Bóg wielki rozsądzi.

III.

***Czyn.** — Gadka pomiędzy ludem.*

Szarym się rankiem noc ku dniowi miała, listopadowy ranek przeziąbł w uściskach nocy jesiennéj i jak starzec z siwym pokazał się włosem, nie na długo, bo słońce zazdrośne porwało go za obieloną czuprynę, rozczesało ją na mgły i wstawać rzesko kazało. Lecz przed nim wstał już Piekarski, jemu noc zeszła na bójce z myślami, przeżuł ją jak koń u żłobu sianem, on zamiarem, a przecie nie wiedział jeszcze, po co idzie w téj dobie ku farze, na co wziął czekan do boku: między ciemném słowem hetmana, a wykonaniem swojém tysiąc innych chciał tłomaczeń narzucać i narzucał, i byłby się ino zbył fary pacierzem, gdyby nie owo zjawisko. Mijając konwent OO. Jezuitów, zatrzymał go tłum dziwny, dziki, w mgłę ubrany jako tańczące duchy, pisklivy językiem, zdarty z odzienia — niewiasty, starce, dzieci i męzkie postacie wychudłe, wszystko to gronem klękło u drzwi farnych: było to nieszczęście klaniające się matce swojéj kościołowi i miało do niéj jeden język płacz, którym za sobą się modliło. Było to więcéj jak nieszczęście, była to pierwsza wieść przychodząca z pod Cecory z krwawemi chusty i niosła kadłub Żółkiewskiego. Uciekające tłumy przed krymską niewolą, szczątki rozbitków cecorskich już naszły ze swoją wieścią. One to okoliły Piekarskiego, ścisnęły mu serce, rozwidniły w głowie zamiar wściekły; poczuł ich nędzę, wiedział, kto nie pomógł Żółkiewskiemu, kiedy ten starzec zaklinał o wsparcie wojskiem i wskazał palcem ku zamkowi — »tam, tam, wołał, poniescie żebry wasze i łkania wasze!« — i przez ten orszak biały, bezfarbny przepłynął jak mucha ku farnéj bramie. Właśnie dziad kościelny podwoje odchylał, a w przybytku pańskim ciemność kłóciła się z kilku lampami, kiedy Piekarski wpadł do kruchty i w małym owalu za drzwiami przycupnął; kościelny wziął go za żebraka i począł łajać rannego łachmaniarza. »Dobre miejsce pijaku, kat cię tam ino dostrzeże.« Kościelny prorokował, Piekarski słuchał i odrzekł: »niech i tak będzie.« Msza się poczęła i dwóch ofiarników stanęło na dwóch krańcach kościoła, ksiądz przed ółtarzem, w kruchcie Piekarski. Dzwonek zabrzmiał, ścichły organy. Już pan Bóg ukrzyżowany, lud wita męczennika, kochanka swego schyleniem głowy, stękiem piersi — stało się. A Piekarskiemu już także stoi krew wylana; on w myśli swojéj ofiarnikiem, czy zabójcą? czy zabójcą głośniéj woła sumienie. Czy zabójcą, zdaje się grzmieć organ, co się ozwał w téj chwili. Piekarskim dreszcz trzęsie, strach, przekleństwo, piekło, męki. Czy zabójcą? jeszcze raz bada siebie, rękę na sercu położył, biło gwałtownie. Stało się.

Tymczasem grono panów zbiera się na zamek smutne, rozstrojone gadkami miasta; bo wieść cecorska jak dżuma nagabła ich domy i każden osierocila z męża, z brata lub z krewniaka, a wieść ta miała prawdę dżumy. Nie długim bawem wszedł król Zygmunt w posłuchalną salę, marszałek Opaliński szedł mu przodem, królewic po lewicy ojca, bez dworu swego, bez blasku w ubiorze, czarno jak ojciec szwedzkim krojem ubrany, z czarnym nizkim kołpakiem w ręku, nic prócz szyi białéj i kryzy na niéj, a w twarzy żadnéj białéj myśli prócz łzy nieznacznéj. Król Jegomość miał całkiem płaczące oczy, królewic smutne swe rysy rzucił w zadumę i jasno było, jak ich żałoba różna. Pierwszy myślał jako człowiek idący już ku grobowi, drugi jako stąpający na tron. Wtém kroczy ku królowi na posłuchalni pełnéj urzędników i dworzan Tomasz Zamojski, w jednéj ręce trzyma hetmańską koronną buławę, w drugiéj pieczęć, obie w kirze, i przystąpił z niemi królowi bliżéj, łzę obtarł, a tuląc oba znaki ku piersiom jak rozpłakane niemowlęta: »Królu nasz panie, jąkał z bolem, weźmij sierotę buławę, już ta ręka odcięta, co ją nosiła, weźmij tę pieczęć, bo odrąbano głowę, co o niéj, o dobru twojém i ojczyzny kochanéj myślała. Ale weź w pamięć, miłościwy królu, że w obu jest teraz klejnot droższy, jak owe kamienie, co tam świecą, w obu jest pot ostatnich prac Żółkiewskiego, którémi je oblał wódz, żołnierz, polak, chrześcianin.« I oczy wszystkich panów radnych przemokły łzami czystemi płacąc dań bohatyrowi swemu, a łzy ich był to deszcz niebieski na bujne pola cnoty, z których nie jeden kłos dojrzewał do miary wielkich czynów. Zygmunt stary spłakał także, nad czém? może raz pierwszy nad niemocą swoją, może raz pierwszy poczuł, jak słabym był żniwiarzem owego wieku, co się dla Polski osypał kwiatem wielkich ludzi; pomiędzy nimi on był tak mały czynami, jak małym płacz jego przy szlochach całego narodu; może przewidywał, że historya kiedyś mówiąc o nim, słusznie rzecby mogła: »za Żółkiewskiego czasów panował Zygmunt III.« I wypadało wyjść królowi z tak przykrego rozważania lub słowem jakiém lub ruchem; gdy na to dzwon farny ozwał się z wieży, zbudził wszystkich i wyprowadził króla z kłopotu. Dzwon o mszy świętéj znać dawał, biskup Szyszkowski przysłał dworzanina, że ino króla czeka, by zacząć pobożną ofiarę. Panowie zszykowali się podług urzędów. Opaliński wstępował w kruchtę kościelną, a za nim król o dwa kroki, więc się wstrzymuje nieco królewic, by ojciec z powagą sam z przodku do Boskiéj wstąpił świątnicy, a chyląc się w poły ze śmiechem ku Chodkiewiczowi, co tuż za nim stanął: »ciekawe to sroczki, mój hetmanie, co tak okolają nasze przejście, rzekł, wodząc palcem na tłum zsypanych Warszawian, oneby rade czytać w nas, czy się śmiać czy płakać mają.« »»I dodaj miłościwy króleviczu,«« odrzekł porywczy hetman, »»poczciwe i nie krzykliwe, bo nie chcą w przekor waszéj twarzy płakać

gdy ona się śmieje.«« Władysławowi zebrało się na zmarszczenie czoła, pojrzał po Chodkiewiczu i przypomniał, że nie do dworaka gada i — krzyk z głębi kościoła przerwał mówiącym. Skoczył królewic prędką nogą w kruchtę — ojciec jego już leżał krwią zbroczon, na lasce Opalińskiego łyszczący czekan zabójczy zawisł wrąbany, nieszczęśnik szamotał się, chcąc go zerwać ku nowemu cięciu; biskup z otwartemi ramiony leciał z ółtarza ku Zygmuntowi panu, a królewic dobywa szabli i tnie w głowę zabójcy — zbrodniarza. Krzyk z choru kościoła wrzeszczał piskliwy włoskim językiem: *traditore, traditore.* Panowie za orszakiem idący rzucili się całemi ramiony w kościół, w każdego ręku szabla łysnęła, w każdego oku śmierć dla zabójcy — on jak w matni, jak lis w jamę ztarasował się w ów ciemny owal kruchty, mało co znać, gdzie jest, krew ino bryzgając na otaczających, ostrzega, że to coś żyjącego tam siedzi. Żywcem go żywcem wołało wiele głosów, Chodkiewicz z całym zapędem porywczości skoczył w ten owal bezbronny, nic nie ważący życia i porwał bezbożnika za skrwawione włosy, ściągnął ku sobie na widok, zajrzał mu w twarz i w téj chwili odskoczył, by ukąszony jadem padalca; a wszystkim na myśl, że Chodkiewicz ranny, bo zbladł straszliwie, bo ręka jego pełna krwi była i krew obryzgała delję. Chodkiewicz nie był ranny, lecz poznał Piekarskiego dworzanina swego. Tymczasem zabójca targnion mocną ręką hetmana zkręcił się na sobie, zachwiał i zwalił u nóg królewicza zemdlony bolem i krwi upływem, a króla pana trzymał już w swych objęciach biskup krakowski i tuląc ku piersiom, rany świętemi usty całował. Rozruch w kościele rozpasał się między ludem, wszystkiemi furty uciekali pobożni, strach ich gonił i głos Włocha: *traditore, traditore* — i pierwsza myśl, jaka im się zerwała w głowie, była o Tatarach, rozbiegli z nią po ulicach krzycząc: Tatarzy, Tatarzy! Trzask drzwi i okien zabrzmiał po mieście, tłumy goniące w domach ginęły, pustą ulicą niesiono w zamek rannego króla, pustą ulicą ku bramie krakowskiéj ciągniono za nim zbrodniarza, krew mu twarz zlała, nikt go nie widział, nikt poznać nie mógł. Mejerin przerażona, blada jak ściana, najprędzéj przyszła do siebie, zebrała całą siłę uwagi, rozpytywała porządnym związkiem, ona jedna uzyskowała jakoś ten nieład dworskiego przestrachu; nim powróciła z kościoła w zamek, już z jéj rozkazu doktor Włoch leciał do króla, spowiednik O. Boboli niósł ciało Pańskie, halebardnicy potroili się w bramach zamku, a krakowską bramę zawarto, by się rozruch za miasto nie rozszedł. Radni, sejmowi, dworscy, koronni, Litewscy w gwałt z kościoła w zamek biegli, zdjęci strachem, żałością, bolem. Królewic nie odstępował ojca, kanclerze obaj stali przy łożu, na którém opatrywano króla, niepewność skutków rany kazała czekać wszystkim urzędnikom państwa w ich uroczystych ubiorach; szli z królem modlić się przed dobą, kto wie czy za dobę nie pójdą modlić się za niego. Marszałek Opaliński zwołuje gwardje niemiecką i węgierską, a spodziewając się niebezpieczeństwa, czy z śmierci, czy z jakiego napadu, sobie na wierność przysięgać każe. Regiment królewskich partezanów nadciąga z miasta, lejąc się w zamkowy podworzec; stał niedługo, rozesłano go czatami w miasto na posłuch za krakowską bramę, bo panowie sami wzięli na się bezpieczeństwo zamku i króla; nadciągnęły z szlachetnych domów orszaki dworsko służących: pana hetmana litewskiego same Litwaki pierwszych familij, księcia Zbarawskiego poczet hussarski płatny jego szkatułą. Między niemi krzyżują się wszędzie z rozkazami zamkowi wysłańcy. Właśnie téj chwili pogonił z tajném zleceniem Piotrowski, kamerdyner panny Urszuli, krzycząc w głos: »kędy partyzany?« — pokazano mu drogę, świsnął cwałem i niebawem prowadzi ich za sobą w bramy zamku. Tam kłótnia, właśnie hufce przednich panów jęły się w nie szykować i dopełniać obrony, kiedy zwołane trabanty zastępują im miejsce, a z konia zsiadający Piotrowski ręką i głosem krzyczy z głębi zamku: »nie wpuszczać ich!« Téj właśnie chwili wychodzi ku panom z rycerstwa panna Urszula i oświadcza imieniem króla i pana żądanie, aby chorągwie przybocznych swoich orszaków ku domom zwolali. Pojrzał Zbarawski ku Chodkiewiczu, Chodkiewicz po Sapieże, a wzrok tego siadł z półuśmiechem na lica Opalińskiego, jakby się go pytał: »czy wy się boicie nas?« Opaliński skłopotany nie znalazł czasu ku odpowiedzi, a już książę Zbarawskie odpowiedziało na to nieme pytanie: »my tu przyszli króla bronić, a dwór o swojéj myśli obronie, mniejsza zatém, niech nasi ustąpią.« Wchodzi królewic: »dzięki wszechmocnemu Bogu, ojciec i król mało raniony, nie ma obawy prócz osłabienia z krwi upływu.« »Dzięki Bogu« wtorzyli panowie i mieli się ku odejściu — niebawem cichł zamek z wrzawy, ulice pustoszały z ludu i zbrojnych, ino czujne partezany, jako mur spojeni, w bramach kyzyżowali helebardy.

Pomiędzy ludem dnia tego dziwna się gadka rozeszła; pokątnie zcicha wtorzył ją jeden drugiemu; mówiono w niéj iż kiedy rankiem tłum tułaczów cecorskich kłaniał się farze po swéj wędrówce, pokazał im się archanioł z mieczem gorejącym tuż przed kościołem, a wskazując palcem na zamek, zemstą groził — komu — i co — różnie gwarzą; to pewna, że każdy z owego tłumu go widział, jak ze mgły wyszedł, kiedy oni poklękli, niektórzy głos jego słyszeli, a inni mówili, że to był cień wielkiego cecorskiego wodza. *Vox populi.*

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

W Krakowie wyszło: »Zastósowań geometryi wykreślnéj wedle rozkładu pomysłów i notat Fr. Sapalskiego.« Zeszyt pierwszy zawierający: Rys życia Fr. Sapalskiego; 2) zastósowanie pierwsze: Rozmaite zagadnienia geometryczne; 3) zastósowanie drugie: Teorya cieniów. Zeszyt ten ozdobiony jest pięknym portretem Sapalskiego. Druk, papier i ryciny odpowiadają ważności dzieła, za którego wydanie wdzięczność szanownemu wydawcy p. J. T. G. się należy. O dziele tém udzielimy wkrótce obszerniejszéj wiadomości.

P. Wojcicki wyda w roku przyszłym: »Stare Gawędy.« Dzieło to składać się będzie z trzech tomów.

Lipiński powróciwszy z Moskwy do Lwowa, wybiera się obecnie do Drezna.

»Obrazu bibliograficzno-historycznego« wyszedł, jak już w przeszłym numerze donieśliśmy, zeszyt pierwszy. Odebraliśmy go; zawiera artykuły z literatury i filologii starożytnéj, wraz z rozprawą o niéj. Na dzieło to zbiera prenumeratę nowa księgarnia Stefańskiego w Poznaniu.

W téjże księgarni przyjmuje się także prenumerata na Encyklopedyą powszechną, któréj zeszyt 1. tomu III. w przeszłym miesiącu wyszedł z druku i zawiera artykuły od Babilon do Baltyckie morze.

W Paryżu wydał Michaud dość ważne dzieło: *Manuscrit inédit de Louis XVIII. précedé d'un examen de sa vie politique par Martin Doisy, avec pièces justificatives et correspondance de Louis XVIII.*, którego manuskrypt w królewskiéj bibliotece się znajduje.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*